

NR. 1. LWÓW 2. KWIETNIA 1870 R. ROK I.

CZARLIŃSCY.

ROZDZIAŁ Z POWIEŚCI.

„Sine missione nascimur.“

Ród Czarlińskich nie wynurzał się nigdy z ciżby szlacheckiej. Województwa i kasztelanje omijały ich oporczywie; buławy i pastorały stroniły. Jednakże historja nie pozbyła Czarlińskich milczeniem. Jeden z nich pod Połockiem obozową czujnością ocalił poczet królewski, Batory usadowił mu za to na Ostrzewiu herbowym sowę bezsenną... Za Zygmunta III. Krzysztof Czarliński zasłynął w przybytku akademji krakowskiej. Trzej akademicy skromni, wzgardziwszy patronatem panów potężnych, poświęcają mu dzieła swoje. Znakomity kościół Panny Marji zawdzięcza mu fundację marmurowego ołtarza. Za Władysława IV. błogosławiony Wojciech Czarliński klasztornemi cnotami zdobywa sobie sławę świętego. Cuda jego pogrzebane zostały w *Fortecy monarchów polskich* *).

Pomimo to, że Czarlińscy oglądają się na Duklę jako na gniazdo swoje, a nawet dwa pokolenia ich, owiane fantazją augustowską, pisały się szlachtą węgiersko-polską, inne, dowodniejsze poszlaki odsłaniają kolebkę rodu na Ukrainie. Pod jednym z aktów ruskich z Jagiellońskiego okresu wyczytujemy u spodu nazwisko Czarlińskiego poczczone tytułem *Sud'ji* i napisane w szczerem ukraińskiem narzeczu. Odstępstwo od tradycji rodowej było ofiarą przyniesioną urokowi szlachectwa polskiego.

*) Dzieło Pruszcza z początku panowania Augusta III.

We dwadzieścia lat po pierwszym rozbiorze kraju napotykamy p. Nepomucena Czarlińskiego nie młodym i potężnie styranym żołnierzem na dzierżawie skromnej pod Boryszkowcami. Wychowanym on był odpowiednio świetniejszej, a w pogromie ojczystym zatraconej fortunie, i w ubóstwo swoje przeniósł niespożyty ostatek wiadomości wyższych nad stan i niegdyś przeznaczonych dla popisu i przyjemności, a na starość zastosowanych do widoków powszednich i niestety — na walkę z głodem użytych.

Najmłodszy z braci p. Nepomucena, dziesięcioletni chłopiec Tadeusz, wstępował w tym samym czasie do szkoły wojskowej w Prusach. Protekcja życzliwego Czarlińskim pana oderwała sierotę od rozbitej nędzą rodziny i rzuciła na drogę inną, po której w kilkadziesiąt lat później dowlókł się p. Tadeusz do śmierci bohaterskiej na płytach bronionego kościoła.

Pan Nepomucem gospodarował z biedą do 1794 r. Pewnego dnia, po króciutkiej rozmowie ze spotkanym w polu sąsiadem, zaprzągłszy do bryczki parę mierzynów chudych, zasępiony dzierżawca odwiózł do lasu niedaleko żonę i pięcioletniego syna, a zostawiwszy na łaskę bożą i opiekę starej Juszczychi to co miał najdroższego, wyruszył w świat z zardzewiałą szabelką i czystem jak djament sercem szlacheckiem.

W przeciągu dwóch tygodni pani Nepomucenowa z Józiem maleńkim chroniła się w gęstwiach najgłębszych, Juszczycha, narzekając i *głosząc* ukraińskim zwyczajem, uczyła Józia odmawiać pacierz po rusku, nieraz bowiem w tych czasach dzieciom zniewolonym do fatalnego popisu polska modlitwa napowrót w bijała się w serce dzidą kozacką.

Wojaczka p. Nepomucena skończyła się niewolą. Wynędzniały, złamany, nie musiał mieć rycerskiej w oczach dowódzcy nieprzyjacielskiego postaci — i na szczęście ani do karabina, ani do zaludnienia Syberji zdolnym się być nie wydał.

— *A ty czto znajesz?* — zapytał hyperborejczyk z gniewem.

— Grać — odpowiedział pan Nepomucen, przypomniawszy cud Orfeuszowy.

— Podajcie mu trąbę!

I nieszczęśliwy dzierżawca wydobył ze skołatanej piersi dźwięk wojowniczy, potężny, czysty...

— *Charaszo! astańsia kapelmejsterom!*

Dwa lata kształcił p. Nepomucen talenta obce, lecz gdy zaczęły mu grozić suchoty, wyprosił u rozczulonego trąbą Suwarowa dymisję z poświadczeniem trzeźwości, i zaopatrzony tak zaszczytnem świadectwem, ruszył do domu.

Tymczasem pani Nepomucenowa przytuliła się z synem w komorniczym domku w Tulczynie. Tam więc po wielu poszukiwaniach powitał ją stary Czarliński. Szczęście chwili tej wymodlonej zachmurzyła troska o jutro. Kobieta i dziecię, pozbawione tak długo opieki i pracy męzkiej, pognębione były ubóstwem. P. Nepomucen, ze śmiertelną zgryzotą w sercu, postanowił pójść do pałacu.

Podług wyobrażeń ówczesnych magnat był upostaciowaniem obywatelskiej potęgi, najjaśniejszym wyrazem powagi narodowej, cząstką Rzptej widomą. W stosunku do braci szlachty *pan* wyobrażał *summę* zaszczytów, zasług i wielmożności szlacheckiej; każdy zaś mniej zamożny stanowił drobną *jednostkę* — i tylko w sejmikowej gromadzie równoważyć mógł pańską osobę. Idealne to zapatrywanie się na panów (Polacy są najidealniejszym narodem w życiu) powodowało, że w ocenieniu pana każdego najstaranniej odróżniano charakter jego *ludzki* od dostojeństwa rodu i mienia. *Człowiek* mógł zasługiwać na nienawiść i wzgardę; — *pan* nieodmiennie nakazywał szacunek. Stopniowe usuwanie się szlachty ubogiej od publicznego życia nadawało magnatom coraz więcej nietykalności. Gmin sieraczkowy uznawał ich za gospodarzy w Ojczyznie, a jeżeli gospodarka ta potrącała Rzptę do zguby, szlachcic, machnąwszy ręką, zamykał się w zagrodzie swojej, kiedy nie kiedy zżymał się lub klął zawzięcie; lecz dopóki się nie poczuł gromadą, zawsze miał dla jaśnie-wielmożnego zdrajcy słowo pokorne i ukłon niski na pogotowiu.

Dalekim jeszcze był czas, gdy ów szlachecki stan, poniżony własną swawolą, odzyskać miał dawniejszą energję gminowładną i natchnąć się w życiu społecznem myślą wszechobywatelskiej równości. Duch Rzeczypospolitej nie podzwignął się jeszcze z upadku — i oto w osobie p. Nepomucena, poraniony i trwożny, z czołem porytem troską i poczuciem upokorzenia własnego, pochyla się przed Szczęsnym Potockim z prośbą o łaskę i chleb powszedni do zapracowania.

Znakomity Targowiczanin był zdrajcą względnie poczciwym. Należał on do rzędu szaleńców, co w uniesieniu dumy lub żalu gotowi są do spełnienia zbrodni najohydniejszej, lecz po chwili opłakują następstwa jej, rozczulają się nad krzywdą swoją i ze łzami wyrzucają ofierze nikczemność własną. O, jeżeliby Rzeczpospolita mogła wyjść z grobu i stanąć przed p. Szczęsnym w postaci zbolałego, ukaranego sługi!.. Uraza byłaby darowaną, przeszłość-zatartą, a p. Szczęsny i naród i król utopiliby żale wzajemne w serdecznem „Kochajmy się“ polskiem... Zapóźno! Rzeczpospolita umarła — Potocki wylewał łzy krokodyle.

Wojewoda lubił czasami wesprzeć ubogiego szlachcica... Rozrzewniał się wtenczas dobrocią własną i zapisywał dług ten na Rzeczypospolitej, którą on, nieszczęśliwy, zmuszony był zamordować pomimo woli swojej... Biedny, pokrzywdzony złoczyńca!...

Nie umiał p. Nepomucen dworować, — nie mógł więc zajść daleko w łaskach wojewodzińskich. Dobroczynność biednego matkobójcy potrzebowała uznania schlebiającego, chwalczego, — a p. Nepomucen prosił tylko o pracę i chleb; — otrzymał więc miejsce w pałacowej orkiestrze z pensją kilkuset złotych, ordynarją i dworkiem skromnym w Tulczynie.

Uzbrojony przeciwko nędzy, p. Nepomucen wziął się do wychowania syna. Józef był rześkim ośmioletnim chłopczykiem z rozumnym wyrazem twarzy, z ładnemi czarniutkiemi oczkami i rumieńcem przepysznym. Zwykle zamknięty w sobie, niechętnie wykazywał uczucie, a znamiętniał je w piersi, aż rozsadzało ją gniewnym, opryskliwym wybuchem. Było to dziecię wymagające miłości uprzedzającej i cichej. Pieszczoty, zdawało się, niecierpliwiły go, choć może pozornie tylko, bo

i rzewne uczucia w chłopcu tym objawiały się szorstko i nieprzyjemnie. Natura to była energiczna, chropawa, potrzebująca umiejętnej i czułej opieki; w przeciwnym zaś razie zagrażająca nieszczęściem sobie i drugim.

I jeszcze osobliwość jedna uderzała w charakterze Józefa. Marzący i zasępiony w kółku domowem, skoro tylko się znalazł pomiędzy osobami obcemi, natychmiast odzyskiwał uśmiech dziecinny i zalotny, iskrzącą się wesołość. W młodocianem tem sercu wrzała chęć podobania się właściwa wszystkim artystycznym naturom. Było to uczucie piękne w pieluchach egoizmu ośmioletniego. Przytomnością i słówkami miłemi zdobywał sobie p. Józef podziwienie i łaskę tych wszystkich, którzy składali towarzystwo zwykłe rodziców, i przez to samo mimowiednie postępował w znajomości serca ludzkiego.

Pan Nepomucen z doświadczenia własnego przekonał się, że nie łatwe życie bez pracy. Niepowrotnie minęły czasy, kiedy każdy brat szlachcic do korony stworzonym się mniemał. Sam p. Szczęsny, z westchnieniem odczarowania, odniósł do skarbca nieużyteczne insygnja królewskie. Próżniacza i butna dworskość ustępowała z życia narodowego. Z kądinąd pokojowe służalstwo nie przypadało do usposobienia p. Nepomucena. Wypadało obmyśleć synowi pewniejszy i pracowitszy zawód.

Daje się to co ma. P. Nepomucen był muzykiem dobrym. Talent, uprawiany z zamiłowaniem w chwilach szczęśliwszych, rozwijał on studjami sumiennemi w Tulczynie. Jeżeliby życie wyrobiło w p. Nepomucenie więcej rzutkości i odrobinę szarlatanerji fachowej, to możeby smyczkowi i palcom jego poklaskiwano w salonach Paryża i Wiednia; — lecz artysta—żołnierz był skromnym i poprzestał na tryumfie zdobytego kawałka chleba. Czas Paganinich i Kątskich nie nadszedł był jeszcze.

Zdolności muzykalne Józefa ułatwiły panu Nepomucenowi nauczycielskie zadanie. Chłopiec miał ucho, zręczność i pamięć niepospolitą. Dzieckiem jeszcze o tyle opanował fortepian i skrzypce, że we dwadzieścia lat później i z rodzicami innymi śmiałoby mógł popisywać się we wszystkich europejskich stolicach, i w roli cudownego dziecięcia zbierać kruszec cudowny i urzędowe uznania znakomitych maestrów.

Po zamieszkaniu w Tulczynie pani Nepomucenowa powiła mężowi jeszcze dwóch synów. Coraz częściej skołatany weteran zamyślać się zaczął o jutrze. Troska ta przyniosła postanowienie, które ostatecznie wpłynęło na los Józefa. P. Nepomucen postanowił rozstać się z synem. Generałowa M. potrzebowała nauczyciela muzyki dla córki. Dziesięcioletni Józef, po szczęśliwym popisie przed kapryśną znawczynią, zaszczycony został odpowiedniem uznaniem i otrzymał wakującą posadę.

Źle zrobił p. Nepomucen, usuwając dziecię z pod opieki ojcowskiej. Zamierzał on usposobić zawczasu chłopca do czuwania nad losem własnym, a na wypadek śmierci swojej przygotować w nim opiekuna dla osierociałej rodziny. Lecz jeżeliby wychowanie ówczesne opierało się mniej na powadze i surowem uczuciu obowiązku, a więcej na głębszej znajomości serca ludzkiego, to przewidziałby p. Nepomucen dla przyszłości synowskiej ważne niedogodności z tej zawczesnej wyprawy. Serce dziecinne, pozbawione miłośnego powietrza domu, mimowiednie stygnąć musiało. Przykrości nauczycielskiego zawodu zatruwac je miały goryczą, a niepodległość zawczesna nie mogła nie rozwinąć wrodzonego chłopcu uporu, samolubstwa i despotyzmu rozkiełzanej niebacznie woli.

C. d. n.

KRONIKA LWOWSKA.



Nic nie ma ciekawego we Lwowie: błoto, z dachów kapie, ludzie chodzą jak bociany po chodnikach, patrząc jakimby to sposobem ominąć kałużę, panienki choćby jak uważnie stąpały, to muszą sobie powalać trzewiczki, jeżeli broń Boże, jeszcze nie sukienkę! Powietrze wilgotne, dymy ciągną się po nad dachami, nierade do wilgotnego nieba się dostawać. Jednem słowem brzydko we Lwowie, a zdaje się, że tak samo i poza Lwowem.

To szczęście, że każdy czuje zbliżającą się wiosnę. Niechby no takie dnie były w jesieni, a ludzie by już nie wiedzieli, jak rospędzać tęsknotę. A teraz cieszą się nadzieją prędkiej wiosny i myślą sobie o złotem słońcu, o błękitnem niebie, co nie dziś, to jutro musi się pokazać i zacznie nam świecić i przygrzewać.

We Lwowie cicho. Koncerta i teatr to jedna tylko zabawa dla Lwowian w poście. Towarzys-

two muzyczne daje stałe koncerta i wieczorki, na których można się nasłuchać muzyki klasycznej, niemieckiej, do syta. Wielka to korzyść dla Lwowian, to prawda, że się obeznają z wysoką muzyką, nie zrozumiałą zwykle dla tych co do niej po raz pierwszy nastawiają ucha; ale z drugiej strony wielka szkoda, że Towarzystwo muzyczne jakimś takim duchem cudzoziemskim nasiąknięte, że nie lubi motywów narodowych, i jak da na koncert lub wieczorek jaką piosnkę polską, to każdy wie, co sobie o tem dyrektor myśli: „Dajmy tym profanom coś polskiego, aby się odczepić.“ My jesteśmy profani, ja temu nie przeczę, ale Towarzystwo jeżeli jest narodową instytucją naszą, a nie cudzoziemską, powinno mieć więcej miłości dla narodowej muzyki, która szczególnie u ludu ruskiego ma bardzo bogate i niewyczerpane źródła.

O naszym teatrze polskim trzebaby dużo mówić, a boję się, żeby nie na darmo. Już tam dużo kazań było o tym teatrze, a wszystkie one nic nie pomogły. Wiecznie na scenie francuzkie komedje, które przedstawiają życie tak podobne do naszego, jak pięść do nosa. Jak jestem w teatrze, a kurtyna się podniesie, to nie potrzebuję czytać afisza, a wiem, że już jestem w Paryżu. Wychodzą ci Paryżanie, plotą smalone duby, skaczą przez okna, łażą nawet po dachach, a choć się człowiek tem ubawi, to przecież myśli sobie żeby to lepsze było w cyrku, niż w teatrze. Dobrze jest czasem wziąść z francuzkiego, ale nie zapominać o swojem. A oprócz francuzkiego przecież to niemiecki i angielski dramat istnieje. Ale u nas już ludzie zaczynają tracić dobry smak; jak kto często patrzy na głupstwa, to już go one przestają razić.



WYSPA GUERSEY.

Mieliśmy w tym miesiącu wystawę obrazów nieboszczyka Grottgera, który umarł bardzo młodo, i dla tego nie bardzo wiele rzeczy zostawił po sobie. Zanadto burzliwie żył, zanadto swawolnie i dla tego umarł — niech nasi artyści i poeci pamiętają o tem, jeżeli chcą coś większego zostawić po sobie, a nie mignąć jak meteor na niebie, co jasno zabłysnął i zaraz zagasa.

Na tej wystawie z ważniejszych obrazów Grottgera była tylko *Litwa*, dwa obrazy z *Wojny*, i *Wygnańcy na Sybir pędzeni.*

Litwa Grottgera składa się z sześciu obrazów, a właściwie rysunków kredą robionych. Jest to własność Towarzystwa Przyjaciół sztuk pięknych w Krakowie, które zachowuje dla siebie prawo odbijania fotografji tych obrazów i dla tego

Równie pięknym z bardzo bogatą fantazją utworzonym obrazem jest *pochód więzniów na Sybir*. Na nagiej płaszczyźnie śnieżnej, ciągnącej się wzdłuż i wszerz jak oko zasięgnie, stoją w długim szeregu jeńcy. W twarzach ich znać ból i znużenie, ale zarazem jakąś anielską cierpliwość i słodycz. W zupełnej z niemi sprzeczności odmalował Grottger twarze moskiewskich



DZIEJOPISARZE POLSCY: KAROL SZAJNOCHA.

Litwy nie można nigdzie dostać w fotograficznem odbiciu. *W Litwie* Grottger przedstawia różne sceny z ostatniego powstania litewskiego. Najpiękniejszy z tych sześciu obrazów jest pierwszy, który przedstawia jak duch zniszczenia i śmierci przeciąga w powietrzu przez gęste i tajemnicze lasy Litwy.

żołnierzy. — Były na tej wystawie także i niektóre prace Grottgera w dzieciństwie jeszcze dokonane.

Więcej z malarstwa naszego nie mamy żadnej wiadomości do udzielenia; zobaczymy, co nasi malarze dadzą nam na ogólną wystawę lwowską sztuk pięknych.

Na początku przyszłego miesiąca urządzają

Lwowianie koncert na dochód teatru poznańskiego. Jest to cel bardzo piękny i można się spodziewać, że zbierze się znaczny dochód. Teatr w Poznaniu jest jednym z najdzielniejszych zapaśników z niemczyzną, co tam w Poznańskiem wkrada się wszystkiemi porami.

KARTKI Z PAMIĘTNIKA
Z CZASÓW OSTATNIEGO POWSTANIA.



Pod koniec 1862 r. zmuszony byłem opuścić Litwę, lada dzień bowiem mogłem oczekiwać że będę porwany i wywieziony na Sybir.

Przejażdżka ta sama przez się nie byłaby zbyt nieprzyjemną, o ile że nie mając na sobie ciężkich grzechów przeciw Moskalom nie mogłem przypuszczać aby mię skazano do ciężkich robót, lub nawet aby mię wywieziono na długo. Nie miałem wielkiego wstrętu do podróżowania i byłbym z rezygnacją wyczekiwał na to co mi los zdarzy, tembardziej że nie miałem pewności aby Moskale mieli szczególny apetyt zajęcia się mną. Przypuszczenie jednak oparte na wielokrotnych pogróżkach policji, że mogę być wywieziony z kraju w przeddzień powstania i że w takowem nie przyjmę czynnego udziału było dla mnie przerażającem. Wszystkie sny młodzieńcze, niecierpliwe długoletnie wyczekiwanie na tę chwilę kiedy naród weźmie za oręż aby otrząść się z gniotącego go jarzma, nareszcie udział w ciągu dwóch lat w przygotowaniach do tego wielkiego dzieła, to wszystko miałoby rozbić się o głupi rozkaz policji — tego dopuścić nie mogłem i wolałem zachować i swoje acz nic nieznaczące siły do walki.

Żądania policji były skromne, ona chciała tylko abym dobrowolnie opuścił stanowisko w kraju (stanowisko prostego konspiratora) i wyjechał do Moskwy, lecz gdy mnie się nie chciało policja poczęła straszyć. Jechać do Moskwy nie miałem poco. Żądano abym powrócił na studja uniwersyteckie, które po czterech latach prawa przed samemi egzaminami w roku 1861 wraz z wielu innymi kolegami przerwałem udając się do kraju.

Już w 1861 r. było dla nas jasno jak na dłoni że lada dzień powstanie wybuchnie, że bez powstania się nie obejdzie. Nie było więc czasu do stracenia, potrzeba było spieszyć przygotowywać lud do tego aktu, potrzeba było spieszyć rozkuć podwójne jarzmo ludowi, niewoli i ciemnoty aby przejrzał i nabrał sił do walki. Nie było więc czasu do stracenia i jednej minuty. Potrzeba było spieszyć. Wróciliśmy do kraju i rozpoczęliśmy pracę.

Do Moskwy, gdybym i chciał pójść za wolą policji, jechać nie miałem poco albowiem wydając nam świadectwa uniwersytet zawarował że już nas z powrotem nie przyjmie. Uniwersytet bowiem wiedział dokąd i poco jedziemy, a że w Moskwie od cara do chłopa każdy jest policjantem więc i profesorowie uniwersytetu nie wyróżniają się także.

Teraz potrzeba było kraj opuścić (mnie osobiście) abym dłonie swoje mógł oddać na usługę sprawie.

Oczywiście nie mogłem wyjeżdżać poza granice kraju aby nie utrudnić sobie powrotu po wybuchu powstania. Przyszedł mi na myśl Kraków i tam się udałem.

Wyjechałem bardzo legalnie za paszportem moskiewskim, którego wprawdzie nie dawano do Krakowa, wielkie były trudności otrzymania paszportu do Austrji, ale najchętniej i bez żadnej zwłoki wydano do Anglji, Francji i Niemiec. A ponieważ Austrja należy do Niemiec, a Kraków jest w Austrji więc pojechałem prościuteńko do Krakowa.

Żal mi było opuszczać moje stanowisko, o ile żem widział to naocznie iż praca moja nie była bezowocną. Była ona najskromniejszą — uczyłem chłopskie dzieci czytać i myśleć, dzieciaki brały się ochoczo do czytania i innych nauk, na które także i ich ojcowie nie byli obojętnymi, owszem z prawdziwą roskoszą trzeba było widzieć jak maluczka praca obfity wydaje plon, jak małe ziarenko rzucone na tę urodzajną glebę rozrastało się prawie w mgnieniu oka w rozłożyste drzewo, jak szczere braterskie słowo powiedziane na ustroniu znajdowało odgłos w tysiącach piersi i rozbiegało się na kilka mil do okoła.

Nie ma wdzięczniejszej pracy jak nauczanie ludu, nie ma wdzięczniejszych serc jak serca naszego ludu. Tylko trzeba wyrznąć z własnej piersi pychę, trzeba nauczyć się tego że wszyscy ludzie są równi, trzeba w to uwierzyć i nie tylko że ludzie różnie urodzeni są sobie równi ale że i różnie wykształceni są sobie równi — gdy człowiek w to uwierzy, gdy to przejdzie w krew i życie jego, gdy w każdym będzie widział brata, jeżeli jeszcze ma serce i potrafi braci ukochać po bratersku a wówczas ujrzawszy braci upośledzonych, w jarzmie, w ciemnocie, w nędzy, gdy jego to upośledzenie zaboli i zbliży się do nich jako brat kochający, o wtedy lud nie odepchnie, nie przyjmie nieufnością, on sercem z tobą się podzieli — on ci całe serce odda.

Żal mi tedy było opuszczać stanowisko, skromne, że tak powiem parobka w winnicy pracy narodowej, ale uważałem to za konieczne. Nie sądziłem aby wybuch powstania przewlókł się aż do stycznia, zdawało się mi że lada dzień nadejdzie wieść z Warszawy. Nadzieje moje były mylne gdyż siedząc na wsi, w borach litewskich, nie wiedziałem co się na świecie dzieje, widziałem na około mnie kolegów pracujących, zdawało się mnie że w całej Polsce tak pracują,

owszem sądziłem że czem dalej to lepiej. Zwyczajnie młodość. Człowiek w tym wieku (miałem lat 24) patrzy na świat przez okulary młodości, a są one różowe, więc i świat widzi różowym.

Ale wracam do opowiadania.

(C. d. n.)

WŁOŚCIANIN POLSKI

czyli

gospodarstwo wiejskie dla użytku mniejszych gospodarstw, szkół wiejskich i rolniczych.

Pod takim tytułem napisanę przez *Zygmunta Gawareckiego*, wydane zostało nakładem redakcji *Gazety Rolniczej* w Warszawie dzieło znakomitej praktycznej doniosłości.

Uznane przed kilku laty przez władzę wychowania publicznego za przewodnik dla niższych szkół rolniczych w Kongresówce, rozeszło się w paru tysięcach egzemplarzy głównie na Litwie i na język łotewski przełożonem zostało. W streszczeniu drukowanem było w języku czeskim. Taka wziętość dzieła przy skromnej jego cenie (2 złote reńskie u Wilda we Lwowie), dziwić się każe, dla czego ono w Galicji nie jest rozpowszechnionem, jakby spodziewać się należało, dlaczego Towarzystwo gospodarskie galicyjskie rozpisuje konkursa na dzieło ludowe rolnicze, mając rzecz gotową dobrze a sumiennie opracowaną. — Te względy spowodowały: że zamierzyłem czytelników „*Towarzysza*“ obznajomić z treścią „*Włościanina Polskiego*“. — Dzieło to obejmujące 500 stron druku, ułożone sposobem katechizmowym na pytania i odpowiedzi, obejmuje całkowity zakres gospodarstwa; a mianowicie wiadomości: o roli, jej uprawie i rozmaitem użyźnieniu; o sianie, sprzęcie i przechowaniu roślin w ogólności i szczególowo o uprawie rozmaitych roślin; o łąkach i pastwiskach; ogólne wiadomości z hodowli zwierząt domowych, a w szczególności: chów koni, bydła rogatego, trzody chlewnej, kóz, królików, drobiu, pszczół, ryb i jedwabników; o rozmaitych sposobach przyrządzania paszy dla inwentarzy, wreszcie ogrodnictwo, leśnictwo i domowe (kobiece) gospodarstwo. Wykład jasny i przystępny, czyni je szczególniej użytecznem dla mniej wykształconych, dla których też głównie napisanem zostało, chociaż i wykształceńsi znaleźć tu mogą nie jedną pożyteczną wiadomość. Nadewszystko zaleca się ono dla niższych oficjalistów gospodarskich, na których nieudolność i niemoralność ze wszech stron dają się słyszeć użalania; z niego nabędą potrzebnych w swym zawodzie wiadomości, a poświęcając chwile wolne od obowiązkowych zatrudnień pożytecznemu czytaniu i moralnie podnosić się będą.

Oby głos mój nie był głosem wołającego na puszczy, jak się to często w naszej Galicji — ba i w całej Polsce zdarza. L. S.

GOSPODARZ DOMOWY.

OGRODNICTWO.

Jakże przyjemnie na wiosnę kiedy drzewa owocowe okryją się gęstym kwiatem, a dom wygląda jakby w wielkim bukiecie, miło letnią porą człowiekowi znużonemu po pracy odpocząć na murawie pod cieniem drzew koło swego domku, nie mniej przyjemny widok w jesieni gdy drzewa te pokryją się gęstym owocem i dostarczą zdrowego i smacznego pokarmu na użytek codzienny i zaopatrzą na całą zimę, a jeszcze skrzętna gospodyni może sobie z tych owoców przygotować rozmaite specjały, to konfitury, powidła, to suszone owoce, to nawet wina, ba i dobre wina dadzą się robić z naszych prostych owoców. O tem wszystkiem będziemy pisać w swoim czasie.

Ale nie tylko przyjemność i pożytek dać mogą ogrody, mogą one przyczynić się do bogactwa krajowego, jeżeli sobie wyobrazimy kraj cały w takim stanie że przy każdym domu, przy drogach i t. p. rosną drzewa owocowe i przynoszą zysk gospodarzom — jak to zresztą jest nie w jednym kraju na Zachodzie — to będziemy mieli wyobrażenie że to nie mały zysk będzie dla kraju.

Staranie się o ogrody wielkie, kupowanie drzewek owocowych, sprowadzanie ogrodników, są to rzeczy kosztowne bez których się obejść można. Owszem bez tego wszystkiego, wprawdzie nie tak szybko, ale niemniej skutecznie można przyjść do tych samych rezultatów. Tego nie będziemy odradzać aby każdy gospodarz zaopatrzył się w dobre dzieło traktujące o ogrodnictwie, to jest pożądanem, ale nie jest kosztownem i z kolei rzeczy będziemy dobre dzieła zalecać. Wszakże i ze swej strony nie omieszkamy udzielać wskazówek.

Teraz jest najdogodniejsza pora do zasadzania drzewek. Jest pożądanem aby każdy poświęcił jedną, małą, ale dobrej ziemi, suto ugnojonej i uprawionej, grządkę na *szkółkę* i zasiewał na niej owocowe drzewa. Będziemy o tem mówić kiedy przyjdzie pora. Tymczasem można się i bez tego obejść. Rośnie u nas po polu i lesie wiele dziczek, te przesadzić należy koło domu wybrawszy kawałek ziemi obrócony ku południo-zachodowi, i jednocześnie też wypada już ten kawałeczek ziemi poświęcony na ogród, od północy i wschodu zasadzić gęsto we dwa szeregi jodłą, która gdy wyrośnie zasłoni drzewa owocowe od wiatrów zimnych. Pożądanem jest aby miejsce przeznaczone na ogród było pochyłe ku południo-zachodowi. Rozumie się gdzie to jest możebne.

Zagradzając od wiatrów jodłą, nie zaszkodzi obok niej jeszcze zasadzić szpaler lipowy, który także oprócz przyjemności przyniesie i tę korzyść że pszczółki będą miały ztamtąd pożywienie. Albo przynajmniej jeżeli nie lipę to leszczynę wypada zasadzić przy jodłach. A przy tej znowu dobrze jest zasadzić malinę. To wszystko zajmię

bardzo nie dużo miejsca, a przyniesie korzyść. Przy sadzeniu malin znowu trzeba zachować ostrożność aby nie brać prostych malin ale postarać się o gatunek wielkich malin. Maliny potrzebują ziemi pulchnej i dobrze uprawnej.

Wracając do przesadzania dziczek, potrzeba się z tem spieszyć zanim liście nie rozpuszczą bo potem już nie tak łatwo się przyjmują, potrzeba je wyjmować z ziemi ostrożnie aby nie nadwerężyć korzeni, a jeżeli korzenie się pokaleczą, to trzeba końce skaleczone gładko poucinać ostrym nożem, także wypada poucinać jeżeliby niektóre korzonki były zepsute. Wykopawszy dół na łokieć głęboki i tylež szeroki, jeżeli drzewko małe a ziemia nie zła, i tam drzewko zasadzić dając trochę gnoju. Jeżeli ziemia zła, piasek naprzykład, to trzeba dół kopać i trochę głębszy i znacznie szerszy a ziemię wyrzuconą odrzucić precz dając na jej miejsce lepszą. Dzewko zasadzone potrzeba często polewać, zwłaszcza jeżeli wzięte z mokrego miejsca póki się przyzwyczai do nowej.

Drzewka powinny być co najmniej na dwa sążni jedno od drugiego odległe inaczej nie mogłyby rozrosnąć się należycie. Jeżeli zaś mają być hodowane na sposób francuzki to mogą być o 3 łokcie zbliżone.

Drzewko przesadzone jeżeli się pięknie przyjmie w tym samym roku może być *okolizowane*, co się robi w Czerwcu i wtedy o tem mówić będziemy. C. d. n.

ROZMAITOŚCI.

— *Henryk Schmitt* miewa obecnie wykłady z dziejów polskich w Krakowie. Korzystając z jego tam obecności p. *Walery Gadomski* wykonał jego portret w medaljonie, który to medaljon ma być w krótce na wystawie krakowskiej.

— *W Toruniu* zawiązało się stowarzyszenie z mężczyzn i kobiet, celem wspierania ubogich przez dostarczanie zarobku.

— Czytelnicy zapewno już wiedzą o tem, że *w Poznaniu* powzięto myśl budowy teatru narodowego, gdyż dotąd w tem gnieździe polskiem był tylko teatr niemiecki celem szerzenia niemoralności i wynarodawiania. Otóż ludzie miłujący Ojczyznę postanowili oddziaływać przeciwko temu i podnieśli myśl założenia polskiego teatru, a jakkolwiek sami ubodzy, lecz bogaci w wiarę w siły narodowe, z ufnością że kraj cały przyjdzie im w pomoc, rozpoczęli zbierać składki. Owoc tych składek nie duży, w Poznańskiem zebrano 5 tysięcy talarów (9,000 zlr.) a w tym czasie zebrano na tenże cel w Galicji około 2,000 zlr. — Są to początki które zawsze trudne, wątpić nie wypada że wielka myśl braci Poznanianów znajdzie odgłos w każdem sercu polskiem i każdy, bodaj po kilka centów dorzuci do ogólnej skarbony narodowej. Ziarko do ziarka zbierze się miarka.

Oświadczamy iż redakcja *Towarzysza* chętnie pośredniczy w zbieraniu składek i ma zawsze listę przygotowaną do zapisywania takowych, uprasza więc Publiczność o zrobienie zaszczytu tego nam i przysyłania składek na nasze ręce.

— W Poznaniu także podniesiona druga bardzo ważna kwestja. Ma tam odbyć się pod kierownictwem Tow. przyjaciół nauk kongres w celu porozumienia się względem pisowni polskiej, która ulega ogromnym zmianom i dziś każdy pisze jak chce tak że naprzykład *Marja* inni piszą *Maria*, inni *Marya*, inni jeszcze *Maryja* i nakoniec *Maryia*. Każdy pisze tak jak się nauczył i zdaje mu się że tak jest najlepiej, a jak jest najlepiej tego nikt nie wie. W interesie jest narodu aby ustalił i przyjął jednaką pisownię do którejby się wszyscy stosowali. W celu porozumienia Tow. przyjaciół nauk wzywa wszystkich uczonych i piszących aby przyjęli udział w kongresie.

— *W Toruniu* zawiązało się *Tow. naukowej pomocy dla dziewcząt polskich*. Pośrednikiem między komitetem a publicznością jest Dr. Rakowicz redaktor *Gazety toruńskiej*.

— W przeszłą niedzielę *w Cieszynie* odbyło się przedstawienie amatorskie na korzyść teatru poznańskiego. Tamże odbywają się odczyty na tenże cel, które rozpoczął ks. dr. Otto, redaktor *Zwiastuna ewangielicznego*.

— W Jabłonkowie na Szlązku urządzają czytelnię ludową na wzór czytelni cieszyńskiej. Takaż czytelnia na Szlązku istnieje od roku w Drogomyślu. W ogóle wartoby nam zapatrywać się na braci ze Szlązka i brać z nich przykład, tak są czynni, dbają o oświatę i jest to jedna z najświatlejszych prowincji polskich, pomimo iż od Polski starannie była oddzielaną.

— W Poznaniu odbędzie się wystawa obrazów i wyrobów rękodzielniczych.

— W Przemyślu ma być urządzona w b. r. wystawa rolniczo-przemysłowa.

— W Kołomyi w połowie lipca w czasie zjazdu Towarz. pedagogicznego będzie wystawa rzeczy szkolnych, która spodziewamy się wypadnie bardzo świetnie, bo i z Warszawy nadeszło się wiele rzeczy.

SPRAWY WYDAWNICTWA.

— Wyszedł tomik 20 Bibljoteki Mrówki zawierający Edw. Żeligowskiego *Jordan* fantazja dramatyczna i przed tygodniem został rozesłany wszystkim prenumeratorom. — Oddzielnie kosztuje 45 centów.

Następny tomik zawierający pierwszy tom powieści historycznej M. Czajkowskiego *Wernyhora*, opuści druk za tydzień.

— Wyszedł drugi zeszyt *Mrówki*, już w całej okazałości. Wszelkie przeszkody, które spowodowały opóźnienie w wydawnictwie, a co także oddziałało i na wydawnictwo *Bibljoteki Mrówki* zostały usunięte. Jeszcze w pierwszem półroczu wydawnictwo *Mrówki* ureguluje się.

— Chcemy poddać pod rozwagę Szanownym prenumeratorom czy nie należałoby powiększyć format *Bibljoteki Mrówki*, dla braku miejsca odkładamy tę sprawę do przyszłego Nru,

Nadużycia poczty.

— *Wna Pani K. B. w Tuzyłowie poczta Kałusz.* Tak pierwszy jak i drugi tomik Bibl. Mr. wysłaliśmy pani zaraz po wyjściu. Czy pani żadnego nie otrzymała?

Do dzisiejszego Nru dołączają się prospekta *Kurjera Krakowskiego* i „Wykład wskazujący uczenia czytać i pisać.“

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: August Leopold Skerl. Z drukarni Dr. H. Jasieńskiego.